Randall Garrett

Miara człowieka

(The Measure of a Man)

Astounding Science Fiction, April, 1960
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Alfred Pendray przepychał się wzdłuż korytarza okrętu wojennego *Shane*, trzymając latarkę w jednej ręce, zaś drugą ręką i zdrową nogą, kierując i napędzając się. Promień latarki odbijał się dziwnie od pastelowych zielonych ścian korytarza, sprawiając nieprzyjemne wrażenie, że płynie pod wodą, a nie przemieszcza się przez roztrzaskany kadłub okrętu, znajdującego się tysiąc lat świetlnych od domu.

Dotarł do skrętu w poprzeczny korytarz i próbował skierować się w prawo, ale jego pęd był większy niż sądził i musiał chwycić się narożnika ściany, żeby nie polecieć dalej do przodu. Obróciło go to dookoła, a jego zwichnięta kostka uderzyła boleśnie w drugą stronę poprzecznego pasażu.

Pendray zacisnął zęby i zaczął przepychać się dalej. Jednak, kiedy ruszył korytarzem w bok, przemieszczał się wolniej, tak aby mógł wykorzystywać do hamowania, tarcie dłoni o ścianę.

Nie był przyzwyczajony do manewrowania ciałem w warunkach braku grawitacji; oczywiście nauczono go tego, kiedy był kadetem, ale to było wiele lat i parseków temu. Kiedy generatory pseudogravów padły, zarzygał całe miejsce w którym był, teraz jednak jego żołądek był już pusty i nudności zniknęły.

Automatycznie zorientował się przestrzennie w korytarzach, tak że drzwi różnych przedziałów znajdowały się po jego lewej i prawej stronie, z sufitem „powyżej" i pokładem „poniżej". W przeciwnym razie mógłby całkowicie stracić poczucie kierunku w złożonym labiryncie korytarzy międzygwiezdnego pancernika.

Albo, poprawił się, *tego co zostało z pancernika*.

A co zostało? Tylko Al Pendray i mniej niż połowa potężnego *Shane'a*.

W świetle latarki zamajaczył właz do przedziału szalupy ratunkowej, i Pendray zatrzymał się. Przez kilka sekund patrzył na zamknięty port.

Niech tam będzie łódź, pomyślał. *Tylko łódź, to wszystko, o co proszę. I powietrze*, dodał po namyśle. Potem jego dłoń sięgnęła do uchwytu zamka i obróciła go.

Klapa poruszyła się bez trudu. Po drugiej stronie było powietrze. Pendray odetchnął z ulgą, zaparł się zdrową stopą o ścianę i otworzył właz.

Niewielka szalupa ratunkowa była tam, wciśnięta ciasno w swoje prowadnice. Po raz pierwszy od chwili trafienia *Shane'a*, twarz Pendraya wykrzywiła się w szerokim uśmiechu. Strach, który w nim tkwił, odrobinę się rozwiał, a ciemność okaleczonego statku wydawała się mniejsza.

Potem promień latarki pochwycił małą czerwoną zawieszkę na śluzie szalupy. *Prace naprawcze w toku – nie usuwać tego znacznika bez właściwego upoważnienia.*

To wyjaśniało, dlaczego łódź ratunkowa nie została użyta przez innych członków załogi.

Gdy otworzył śluzę niewielkiego stateczku, jego umysł był kompletnie odrętwiały. Nawet nie próbował myśleć. Chciał tylko dokładnie obejrzeć,

co na jednostce zostało wymontowane przez ekipę naprawczą. Wszedł do środka.

Światła w łodzi ratunkowej działały. To wskazywało, że jej układ elektryczny nadal funkcjonuje. Popatrzył na panele przyrządów i układów sterowania. Przynajmniej nie było na nich widać żadnych czerwonych oznaczników. Aby się upewnić, otworzył je jeden po drugim i zajrzał do środka. Na oko, wszystko w porządku.

Może to była tylko jakaś drobna naprawa – zepsuty włącznik oświetlenia lub coś w tym rodzaju. Nie śmiał jednak jeszcze budzić w sobie nadziei.

Przeszedł przez drzwi w maleńkiej kabinie, prowadzące do przedziału silnikowego i wtedy zobaczył, na czym polega problem.

Z silników atomowych została usunięta osłona ekranująca.

Po prostu wisiał w powietrzu, nie poruszając się. Jego szczupła, ciemna twarz pozostawała bez wyrazu, ale łzy napłynęły mu do oczu i rozlały się wilgocią po powiekach.

Silniki będą działać, to prawda. Statek mógłby go zabrać na Ziemię. Ale wyciek promieniowania z tych silników zabiłby go na długo przedtem, zanim dotarłby do domu. Powrót do bazy zająłby mu dziesięć dni, a dwadzieścia cztery godziny ekspozycji na śmiercionośne promieniowanie z tych silników wystarczyłoby, aby skazać go śmierć z powodu choroby popromiennej.

Jego wzrok rozmazał się od warstwy łez, która pokrywała oczy; bez grawitacji, która poruszyłaby ciecz, po prostu zbierała się ona na nich, utrudniając mu patrzenie. Zamrugał, aby strącić łzy, a potem otarł twarz wolną ręką.

I co teraz?

Był jedynym człowiekiem, który pozostał żywy na *Shane*, a żadna z łodzi ratunkowych nie uciekła. Krążowniki Szczurów tego dopilnowały.

Oni tak naprawdę nie byli szczurami. Nie w sensie dosłownym. Wyglądali na tyle humanoidalnie, że chirurdzy plastyczni byli w stanie zamaskować istotę ludzką jako jednego z nich, chociaż oznaczało to konieczność poświęcenia małych palców u rąk i u stóp, aby można było udawać czteropalczaste szczury. Szczury pod tym względem były w niekorzystnej sytuacji; nie mogły sobie dodać nowych palców. Ale szczury miały inne silne punkty – rozmnażały się i walczyły, jak… no cóż, jak szczury.

Nie chodzi o to, że istoty ludzkie nie mogły się z nimi równać, a nawet przewyższać je w okrucieństwie, jeśli było to konieczne. Ale Szczury miały prawie tysiąc lat przewagi rozwoju, nad Ziemią. Ich rewolucja przemysłowa miała miejsce, podczas gdy Anglowie, Sasi i Jutowie spychali Brytów do Walii. Umieścili na orbicie pierwsze sztuczne satelity, w czasie gdy król Alfred Wielki walczył z Duńczykami.

Nie rozwijały się tak szybko, jak ludzie. Przejście z jednego poziomu na drugi, zajmowało im około dwa razy więcej czasu, tak więc ich faktyczna

przewaga wynosiła tylko około pięciuset lat, i ludzie szybko nadrabiali zaległości. Niestety, ludzkość jeszcze ich do końca nie dogoniła.

Pierwsze spotkanie obu ras miało miejsce w przestrzeni międzygwiezdnej i wydawało się dosyć przyjazne. Dwa statki znalazły się w odległości działania detektorów i krążyły ostrożnie wokół siebie. Był to niemal doskonały przykład hipotezy Leinstera; żaden z nich nie wiedział, gdzie znajduje się macierzysta planeta drugiego, i żaden z nich nie mógł wracać do domu, z obawy że ten drugi będzie w stanie go wyśledzić. Ale Hipoteza Leinstera nie miała jednak tutaj zastosowania w pełnej rozciągłości. Rozwiązanie Leinstera polegało na tym, że obie strony zamieniły się statkami i wróciły do domu, ale to byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby obie cywilizacje były na dosyć zbliżonym poziomie rozwoju technologicznego. Szczury z pewnością nie miały zamiaru wymienić swojego statku, na gorszy pojazd Ziemian.

Szczury, świadome swojej wyższości, znalazły prostsze rozwiązanie. Po pewnym czasie nabrały już pewności, że Ziemia nie stanowi dla nich zagrożenia, więc zaprosiły ziemski statek, aby poleciał z nimi, do nich.

Ziemianie zostali zabrani na starannie przygotowaną wycieczkę po rodzimej planecie Szczurów, a kapitan ziemskiego statku – który przeszedł do historii jako „Naiwniak” Johnston – był przekonany, że Szczury nie mają złych zamiarów i zgodził się zabrać ich statek na Ziemię. Gdyby Szczury uderzyły wtedy, nigdy by nie doszło do Wojny Szczury-Ludzie. Wszystko by się skończyło, zanim jeszcze na dobre się zaczęło.

Szczury jednak były zbyt dumne ze swojej wyższości. Ziemia położona była za daleko, aby w tej chwili się nią przejmować; jeszcze nie znalazła się na liście celów ich podboju. Za kolejne pięćdziesiąt lat planeta ludzi będzie gotowa do zerwania.

Ziemia nie miała pojęcia, że Szczury tak się rozprzestrzeniły. Podbiły one i skolonizowały ponad trzydzieści planet, całkowicie niszcząc rodzime rasy inteligentne, które istniały na pięciu z nich.

Nie tylko duma sprawiła, że Szczury postanowiły poczekać z uderzeniem na Ziemię; była w tym również pewna doza ostrożności. Żadna z ras, które do tej pory napotkały, nie osiągnęła poziomu podróży kosmicznych; Ziemianie mogli więc być nieco trudniejsi do pokonania. Nie to, żeby były jakiekolwiek wątpliwości, co do rezultatów takiej wojny – a przynajmniej nie miały ich one – ale po co ryzykować?

Jednak, o ile Szczurom udało się oszukać „Naiwniaka” Johnstona i niektórych z jego oficerów, to większość załogi zachowała lepszy osąd sytuacji. Marynarze Szczurów znajdowali się niemalże na poziomie niewolników, i Szczury popełniły błąd zakładając, że marynarze na ziemskich statkach są tacy sami. Nie próbowali więc wpływać na zwykłych członków załogi tak, jak na oficerów. Kiedy oficerowie śledczy na Ziemi, przesłuchali marynarzy ziemskiego statku, oni również nabrali podejrzeń. Optymistyczne nastawienie Johnstona, po prostu nie pasowało do faktów.

Tak więc, podczas gdy oficerowie Szczurów uważali że mają rozwinięty przed sobą czerwony dywan, ziemski wywiad zabrał się do pracy. Kilku, jak sądzono, przesiąkniętym respektem ludziom, pozwolono odbyć zorganizowaną wycieczkę po statku Szczurów. W końcu, dlaczego by nie?

Dwudziestowieczni Rosjanie, prawdopodobnie nie mieliby nic przeciwko pokazaniu swoich urządzeń rakietowych Amerykaninowi z czasów kapitana Johna Smitha.

Była jednak pewna różnica. Ziemski rząd wiedział, że Ziemia jest w niebezpieczeństwie i zdawał sobie sprawę z tego, że musi zebrać tyle informacji, ile tylko się da. Władze zdawały sobie również sprawę z tego, że jeśli wiadomo będzie, iż coś można zrobić, w końcu znajdzie się sposób na to, aby to zrobić.

W ciągu następnych pięćdziesięciu lat Ziemia dowiedziała się więcej niż podczas poprzednich stu. Rasa rozprzestrzeniła się potajemnie na inne planety w tym sektorze galaktyki. I pracowano usilnie nad dogonieniem Szczurów.

Oczywiście, plany Szczurów nie zostały zrealizowane. Kiedy po pięćdziesięciu latach z założenia pokojowego – choć bardzo ograniczonego – kontaktu, Szczury uderzyły na Ziemię, przekonały się o jednej istotnej rzeczy. O tym, że masa i energia planety uzbrojonej w odpowiednią broń, nie może zostać pokonana przez żadną możliwą do wyobrażenia koncentrację statków kosmicznych.

Rzucanie kamieniami w armię uzbrojoną w karabiny maszynowe może wydawać się daremne, ale jeśli uderzy się w tę armię lawiną, zostanie ona pod nią pogrzebana. Szczury straciły trzy czwarte swojej floty w ogniu rozlokowanych na planecie dział i musiały wrócić do domu, by lizać rany.

Jedynym problemem było to, że Ziemia nie była w stanie kontratakować. Jej statki nadal były o klasę gorsze od jednostek Szczurów. A Szczury, których duma rasowa została paskudnie ugodzona, zdeterminowane były, aby zniszczyć Ludzkość, zmazać plamę na swej czci, zabijając wszystkich ludzi których uda im się odnaleźć. Jakimś sposobem, jakąś drogą, musiały zniszczyć Ziemię.

A teraz, pomyślał gorzko Al Pendray, będą mogły to zrobić.

Shane przekradł się przez krążące patrole Szczurów, aby zabrać szpiega z jednej z ich zewnętrznych planet; człowieka, który spędził pięć lat, grając rolę niewolnika Szczurów i próbując uzyskać informacje o ich działalności. I zdobył pewien istotny skrawek wiedzy. Odkrył tę informację i przechowywał ją przez ponad trzy lata, aż wreszcie nadszedł czas na spotkanie.

Spotkanie doszło do skutku, niemalże za późno. Okazało się, że Szczury opracowały urządzenie, które może uczynić gwiazdę chwilowo niestabilną i były gotowe do jego użycia przeciwko Sol.

Shane'owi udało się uciec z planety, ze szpiegiem na pokładzie, ale zostali zauważeni pomimo tłumików detektorów, które zbudowano na Ziemi. Zostali osaczeni przez krążowniki Szczurów i rozbici przez lepszą broń Szczurów. Łodzie ratunkowe były niszczone w przestrzeni jedna po drugiej, kiedy załoga próbowała uciec.

W pewnym sensie, można powiedzieć że Alfred Pendray miał szczęście. Był właśnie w izbie chorych ze zwichniętą kostką, kiedy Szczury uderzyły.

Siedział w gabinecie rentgenowskim. Strzał, który rozwalił maszynownię, pozbawił go przytomności, ale ekranowane ściany gabinetu rentgenowskiego uratowały go przed rozbłyskiem promieniowania, które zabiło załogę w tylnej części statku. Przyszedł do siebie akurat na czas, by zobaczyć krążowniki Szczurów, wycinające szalupy ratunkowe, zanim jeszcze zdążyły odlecieć od statku. Zrobili parę pamiątkowych zdjęć martwego kadłuba, a potem zostawili go dryfującego w kosmosie – pozostawiając przy życiu jednego człowieka.

W niewielkiej części w pobliżu rufy statku, pozostało jeszcze parę szczelnych przedziałów, w których było powietrze. W końcu Pendray zdecydował, że tego powietrza jest wystarczająco dużo, aby utrzymać go przez jakiś czas przy życiu. Gdyby tylko udało mu się zyskać trochę energii dla statku, mógłby uruchomić tylne oczyszczacze powietrza.

Wyszedł z szalupy i zamknął za sobą właz. Nie było sensu przejmować się łodzią, której nie mógł użyć.

Ruszył w drogę powrotną do maszynowni. Może tam znajdzie coś, co da się uratować. Pływanie po korytarzach stawało się coraz łatwiejsze wraz z rosnącą praktyką; umiejętności ze szkolenia kadetów zaczęły do niego wracać.

Wtedy doznał szoku, po którym prawie nie zemdlał. Snop światła jego latarki padł na twarz Szczura. Kilka sekund zajęło mu uświadomienie sobie, że Szczur nie żyje, kilku kolejnych potrzebował by zdać sobie sprawę, że to wcale nie był Szczur. To był szpieg, po którego ich wysłano. Był w izbie chorych lecząc rany na plecach, nabyte w ciągu pięciu lat częstych chłost, kiedy był niewolnikiem Szczurów.

Pendray podszedł bliżej i popatrzył na niego. Nadal miał na sobie ubranie, które nosił, kiedy *Shane* zabrał go na pokład.

Biedny człowiek, pomyślał Pendray. *Przeżył takie piekło – i na nic.*

Potem okrążył ciało i ruszył dalej w kierunku maszynowni.

Przedział był wciąż gorący, ale było to ciepło termiczne, a nie radioaktywność. Wyłączony silnik atomowy nie pozostawia żadnych efektów resztkowych.

Pięć z sześciu silników było całkowicie zniszczonych, ale szósty wyglądał na sprawny. Nawet osłona była nienaruszona. Ponownie nadzieja wlała się w umysł Alfreda Pendraya. Gdyby tylko znalazł narzędzia!

Półgodzinne poszukiwania rozwiały ten pomysł. Na pokładzie nie było narzędzi zdolnych do przecięcia twardej osłony. Nie mógł więc jej użyć do osłonięcia silnika na łodzi ratunkowej. A osłony pozostałych pięciu silników stopiły się i zniszczyły; były bezwartościowe.

Wtedy wpadł mu do głowy kolejny pomysł. Czy pozostały silnik może jeszcze działać? Czy da się go jakoś naprawić? To była ostatnia nadzieja, jaka mu pozostała.

Najwyraźniej jedyna jego usterka polegała na tym, że przewody obwodu wzbudzania zostały pocięte przez kawałki latającego metalu. Silnik po prostu się zatrzymał, a nie wybuchł. Powinno dać się go naprawić. Mógł spróbować; w każdym razie było to coś, czym można było się zająć.

Wedle jego zegarka, zajęło mu to większą część dwóch dni. Dookoła leżało mnóstwo różnych mniejszych narzędzi, choć wiele z nich było rozbitych na części, a niektóre zostały zniszczone przez wybuchy. Części zamienne były trudniejsze do znalezienia, ale udało mu się wyszabrować niektóre z nich, ze zniszczonych silników.

Jadł i spał, kiedy czuł potrzebę. W kuchni izby chorych znajdowało się mnóstwo jedzenia, a w warunkach braku ciążenia nie potrzebował łóżka.

Po naprawieniu silnika zaczął przygotowywać resztę statku do poruszenia – jeśli uda się go poruszyć. Kadłub był nadal solidny, więc pole podprzestrzenne powinno działać. Oczyszczacze powietrza musiały zostać naprawione w kilku miejscach i ponownie popodłączane. Tak samo oświetlenie. Najtrudniejszym zadaniem było sprawdzenie wszystkich uszkodzonych przewodów, aby upewnić się, że nigdzie nie ma żadnych zwarć.

Obwody pseudograwitacyjne były beznadziejnie zniszczone. Musiał się obejść się bez sztucznego ciążenia.

Trzeciego dnia postanowił, że lepiej będzie jeśli posprząta statek. W korytarzach unosiło się parę zwłok, które zaczęły być zauważalne. Musiał odholować ciała, jedno po drugim, do tylnej śluzy powietrznej na prawej burcie i zamknąć je szczelnie między włazem wewnętrznym i zewnętrznym. Nie mógł ich wyrzucić w kosmos, ponieważ zewnętrzny właz był częściowo stopiony i zablokowany.

Ludziom zabierał wszystkie rzeczy osobiste. Jeśli kiedykolwiek wróci na Ziemię, ich najbliżsi krewni będą chcieli je odzyskać. Przy ciele udającego Szczura agenta, znalazł na pasku saszetkę pełną mikrofilmów. Raport o nowej broni Szczurów? Możliwie. Będzie musiał to sprawdzić później.

„Rankiem” czwartego dnia uruchomił jedyny pozostały silnik. Włączyło się pole podprzestrzenne i statek zaczął się poruszać z wielokrotnością prędkości światła. Pendray uśmiechnął się. *Ruszył, to i jakoś doleci*, pomyślał radośnie.

Gdyby Pendray miał na pokładzie jakikolwiek alkohol, pewnie by sobie lekko podchmielił. Zamiast tego usiadł i zaczął czytać szpule mikrofilmu, używając projektora w izbie chorych.

Nie był naukowcem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Był nawigatorem i dość dobrym inżynierem. Nic więc dziwnego, że nie potrafił zrozumieć z raportu zbyt wiele. Mechanika przekształcania normalnej gwiazdy w na wpół nową, przekraczała odrobinę możliwości jego umysłu. Poczytał więc trochę raport, a potem wyszedł i popatrzył na gwiazdy, sprawdzając ich ruch, aby mógł oszacować swoją prędkość. Sporządził prowizoryczne stery kontrolujące pole kadłuba, ta więc dosyć łatwo potrafił wycelować statek w pożądanym kierunku. W każdym bądź razie, wystarczyło że dotrze gdzieś w zasięg sygnalizacji. Stamtąd będzie mógł go już zabrać jakiś ziemski statek.

Jeżeli Ziemia nadal będzie istnieć, kiedy tam dotrze.

Zmusił swój umysł do porzucenia tych myśli.

Dopiero gdy dotarł do ostatniej szpuli mikrofilmu, sytuacja skłoniła go do skupienia się na tym zagadnieniu. Do tej pory myślał wyłącznie o ocaleniu samego siebie. Ale pewna notatka na końcu szpuli uświadomiła mu, że są inni, których także trzeba ratować.

Notatka brzmiała: *Ten raport musi dotrzeć na Ziemię przed 22 czerwca 2287 r. Potem będzie już za późno*.

22 czerwca!

To było… zobaczmy…

Jest osiemnasty września, pomyślał, *czerwiec przyszłego roku to za dziewięć miesięcy. Z pewnością uda mi się dokonać tego w tym czasie. Muszę to zrobić*.

Pytanie tylko, jak szybko poruszał się kadłub *Shane'a*?

Uzyskanie dokładnej odpowiedzi, zajęło mu trzy dni. Znał siłę pola otaczającego statek i do tego czasu obliczył także przybliżoną siłę ciągu pojedynczego silnika. Zmierzył także ruchy niektórych z najbliższych gwiazd. Dzięki Bogu był nawigatorem, a nie mechanikiem czy kimś takim! Przynajmniej znał kierunek i odległość od Ziemi, oraz znał odległość najjaśniejszych gwiazd od miejsca, w którym znajdował się statek.

Mógł więc użyć dwu niezależnych sposobów obliczeń. Ruch gwiazd oraz ciąg silnika i siła pola. Obliczył je. Sprawdził ponownie. Wyniki zupełnie mu się nie spodobały.

Doleciałby w pobliże Sol mniej więcej pod koniec lipca – o cały miesiąc za późno.

Co mógł zrobić? Zwiększyć moc silnika? Nie. Wyciskał z niego wszystko, co było można. Nawet wyłączenie świateł nic tutaj nie pomoże; ich pobór energii miał mikroskopijny wpływ na pracę silnika.

Próbował coś wymyślić, starał się znaleźć jakieś rozwiązanie, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Miał nawet czas, aby przeklinać głupca, który zdecydował, że osłona silnika łodzi ratunkowej może zostać usunięta, aby ją naprawić. Ten niewielki stateczek, przy swojej mniejszej masie i silniejszej koncentracji pola, mógłby odbyć tę podróż w ciągu dziesięciu dni.

Jedynym problemem było to, że przetrwanie dziesięciu dni w tym radiacyjnym piekle byłoby niemożliwe. W czasie o połowę krótszym, byłby już bardzo dobrze zachowanym trupem, a na pokładzie szalupy nie byłoby nikogo, kto mógłby ją dalej poprowadzić.

Może uda mu się uruchomić jeden z pozostałych silników! Pewnie. Musi przecież być jakiś sposób, żeby pójść o krok dalej. Trzeba zrobić wszystko, aby skrócić ten czas!

Wrócił więc z powrotem do maszynowni, przyglądając się uważnie pozostałym silnikom. Ponownie je przejrzał, jeden po drugim. Nie można było nawet marzyć, aby którykolwiek z nich dał się naprawić.

Potem jeszcze raz sprawdził swoje obliczenia prędkości, mając nadzieję, że gdzieś się pomylił, opuścił w którymś miejscu przecinek dziesiętny lub zapomniał coś podzielić przez dwa. Cokolwiek. Cokolwiek!

Ale nie było niczego. Jego obliczenia były dokładne już za pierwszym razem.

Przez moment, po prostu się poddał. Jedyne, o czym był w stanie myśleć, to straszliwy rozbłysk gorąca, który zniszczy Ziemię, gdy Szczury wysadzą Słońce. Ludzkość może nawet przeżyje. Były przecież kolonie, o których Szczury nie wiedziały. Ale w końcu je znajdą. Bez Ziemi rasa ludzka cofnie się o pięćset – może nawet o pięć tysięcy – lat. Szczury będą miały dużo czasu, by wytropić ludzi i zniszczyć ich.

Potem zmusił się do porzucenia tej myśli. Musiał istnieć sposób na dotarcie na czas. Coś w głębi umysłu powiadało mu, że taki sposób z pewnością istnieje.

Musiał myśleć. Naprawdę myśleć.

Siódmego czerwca 2287 r., oficer sygnałowy na ziemskim niszczycielu *Muldoon* odebrał słaby sygnał dochodzący ogólnie z kierunku konstelacji Strzelca. Był to standardowy sygnał alarmowy, wezwania pomocy. Nadajnik miał bardzo krótki zasięg, źródło nie mogło więc być zbyt daleko.

Złożył raport kapitanowi statku.

— Jesteśmy w jego bezpośrednim zasięgu — zakończył. — Czy mamy go przejąć?

— To może być sztuczka Szczurów — powiedział kapitan. — Ale będziemy musieli zaryzykować. Przesłać informacje na Ziemię i lecimy tam z minimalną szybkością. Jeśli detektory pokażą cokolwiek dziwnego, podkulamy ogon i bierzemy nogi za pas. Nie mamy możliwości podjęcia walki ze statkiem Szczurów.

— Myśli pan, że to może być pułapka Szczurów, panie kapitanie?

Kapitan uśmiechnął się szeroko.

— Panie Blake, jeśli mówi pan, że ktoś tu może zastawiać pułapkę na *Muldoona* jak na szczura, to z jednej strony okazuje pan brak szacunku, ale z drugiej ma pan rację. Dlatego właśnie, jeżeli zauważymy cokolwiek dziwnego, uciekamy gdzie pieprz rośnie. Ten statek jest już przestarzały według naszych standardów; proszę sobie wyobrazić, jakim antykiem jest według ich. — Zrobił chwilę przerwy. — Niech pan wyśle ten sygnał na Ziemię. Proszę im powiedzieć, że tamten statek używa sygnału alarmowego, który jest już nieaktualny od sześciu miesięcy. I proszę im powiedzieć, że ruszamy do akcji.

— Tak jest, panie kapitanie — odparł oficer sygnałowy.

To nie była pułapka. Gdy *Muldoon* zbliżył się do źródła sygnału, jego detektory zidentyfikowały sam statek. Była to standardowa łódź ratunkowa z pancernika klasy *Shane*.

— Nie przypuszcza pan chyba, że ta szalupa pochodzi z *Shane'a*, prawda? — powiedział cicho kapitan, patrząc na ekran. — To jedyny statek tej klasy, który zaginął. Ale jeśli to łódź z *Shane'a*, to czemu dotarcie tutaj zajęło jej tak długo?

— Jednostka wyłączyła silniki, panie kapitanie! — zameldował obserwator. — Ewidentnie wie, że się zbliżamy.

— W porządku, ściągnąć ją natychmiast, kiedy znajdziemy się dostatecznie blisko. Umieścić ją w doku szalupy Numer Dwa; jest pusty.

Kiedy właz szalupy ratunkowej się otworzył, kapitan Muldoona czekał już przed dokiem. Nie wiedział dokładnie, czego się spodziewać, ale jakoś pasowało mu, że wyszedł z niej chudy, brodaty mężczyzna w mocno zniszczonym mundurze i o wymizerowanym wyglądzie.

Widmo zasalutowało.

— Porucznik Alfred Pendray, z *Shane'a* — oznajmił głosem, w którym prawie nie było siły. Uniósł trzymaną w ręku saszetkę. — Mikrofilm — powiedział. — Musi natychmiast dotrzeć na Ziemię. Żadnych opóźnień. Proszę się pośpieszyć.

— Podtrzymać tego człowieka! — zawołał kapitan. — On się zaraz przewróci!

Ale jeden ze stojących w pobliżu ludzi, już go złapał.

W izbie chorych Pendray ponownie przyszedł do siebie. Kapitan, przesłuchując go, stopniowo wyciągnął z niego całą historię.

— …Tak więc, nie wiedziałem, co wtedy robić — opowiadał Pendray, a jego głos opadł do poziomu szeptu. — Wiedziałem, że muszę to dowieźć do domu. Jakoś.

— Proszę mówić dalej — powiedział kapitan, marszcząc brwi.

— Prosta sprawa — odparł Pendray. — O czym tu mówić. Dwa równania. Mały statek leci trzydzieści razy szybciej od wielkiego statku — wielkiego kadłuba. Musiałem dolecieć przed 22 czerwca. Musiałem. To było jedyne wyjście, rozumie pan.

— W każdym bądź razie. Dwa równania. Proste. Proszę policzyć sobie w głowie. Wielkiemu statkowi zajmie to dziesięć miesięcy, małemu tylko dziesięć dni. Ale nie można było pozostać w małym statku przez dziesięć dni. Nie było osłony. Byłbym martwy, zanim bym tu doleciał. Rozumie pan?

— Rozumiem — potwierdził cierpliwie kapitan.

— Ale… i tutaj jedna ważna uwaga: jeśli pozostanie się w dużym statku przez osiem i pół miesiąca, potrzeba będzie tylko półtora dnia lotu małym statkiem, żeby tutaj dotrzeć. Człowiek może tyle przeżyć, nawet przy takim promieniowaniu. Rozumie pan?

I po tych słowach, zamknął oczy.

— Chce pan powiedzieć, że wystawił się pan na pełną siłę wycieku promieniowania z silnika szalupy, przez trzydzieści sześć godzin?

Ale nie było odpowiedzi.

— Proszę pozwolić mu spać — powiedział lekarz okrętowy. — Jeśli znowu się obudzi, dam panu znać. Ale od tej chwili, jego umysł może nie być już tak bardzo klarowny.

— Czy może pan coś dla niego zrobić? — zapytał kapitan.

— Nie, nie po takiej dawce promieniowania. — Popatrzył na leżącego Pendraya. — Jego problem może i był łatwy, pod względem matematycznym. Ale nie psychologicznym. Wymagał do rozwiązania prawdziwej ikry.

— Taaa — powiedział łagodnie kapitan. — Wszystko, co musiał zrobić, to dotrzeć tutaj żywy. Jego problem nie mówił nic o dalszym pozostawaniu w tym stanie.

KONIEC